

# DEMON RUCHO

STEFAN GRABIŃSKI

ilustracje Rita Kaczmarek

dwie siostry



Głucha przestrzeń (Ballada kolejowa) 4 ◀

Smoluch 28 ● · W przedziale 46 ⚡

Wieczny pasażer (Humoreska) 66 ∞

Falszywy alarm 82 ■ · Demon ruchu 106 ▶

Maszynista Grot 128 → · Sygnały 150 ✕

Dziwna stacja (Fantazja przyszłości) 164 ●

Błędny pociąg (Legenda kolejowa) 194 H▶

Ślepy tor 210 ➤ · Ultima Thule 244 ○

Engramy Szatery 262 →

Przypowieść o krecie tunelowym

(Epilog do „Demona ruchu”) 290 ●

Postówie 312 · Nota edytorska 322

STEFAN GRABIŃSKI

# DEMON RUCHU

zilustrowała Rita Kaczmarska

Karolowi Irzykowskiemu w hołdzie  
i podziwie tę książkę poświęca

*Autor*



Wydawnictwo Dwie Siostry  
Warszawa 2024



# Głuchna przestrzeń (Ballada kolejowa)



# P

omiędzy Orszawą a Byliczem zregulowano przestrzeń. Stało się to możliwym dzięki zasypaniu mokradeł nad Wierszą i przeprowadzeniu niwelacji pod tak zwanym Uplązikiem. Wskutek tego linia uległa znacznemu skróceniu, gdyż pociąg, zamiast omijać bagnisty teren w wielkim, silnie na północ wygiętym łuku, szedł teraz po jego cięciwie, zmierzając do celu prosto jak strzała.

Skrót okazał się ze wszech miar pożądanym. Ruch kolejowy zyskał znacznie na tempie, a okolica, dotychczas malaryczna z powodu bagiennych wyziewów, wkrótce przybrała charakter suchej, zdrowej równiny, która wnet pokryła się bujną zielonością.

Dawną przestrzeń, okrężną, zwaną teraz „głuchą”, zamknięto i izolowano. Do rozebrania toru i usunięcia obiektów kolejowych zamierzała dyrekcja ruchu przystąpić dopiero po pewnym czasie. Nie było z czym się spieszyć; wiadoma rzecz: zburzyć łatwo, zbudować trudniej...

Tymczasem w rok po oficjalnym zamknięciu starej linii zaszedł fakt dziwny i niespodziewany.

Pewnego dnia zgłosił się u dyrektora odnośnego departamentu w Orszawie niejaki Szymon Wawera, wysłużony inwalida kolejowy i emerytowany konduktor, z prośbą, by mu oddano pod opiekę wyłączoną z ruchu „głuchą przestrzeń”. Gdy mu dyrektor przedstawiał, że jest to zupełnie zbyteczne, bo

pętlicę w najbliższych miesiącach rozbiorą, i że funkcja budnika w tych warunkach byłaby co najmniej iluzoryczną, jeśli już nie wprost śmieszoną, oświadczył Wawera, że będzie pilnował starego toru całkiem bezinteresownie.

- Bo proszę pana naczelnika - tłumaczył gorąco - w dzisiejszych ciężkich czasach to i na szyny ludzie się łakomią. A szkoda byłaby wielka dla kolei, panie naczelniku, wielka szkoda. Proszę samemu obliczyć; tyle dobrego, kutego żelaza! Tor tam przeszło dwanaście kilometrów długi! Jest się czym obłowić. A ja dopilnuję wiernie jak pies, panie naczelniku. Nie dam uszczknąć ani jednego metra! Jakem stary konduktor Wawera! Centusia za to nie chcę, ani złamanego szeląga. Choćby mi pan dyrektor sam pchał do ręki, nie wezmę nic. Ja tak tylko z miłości wielkiej do zawodu i dla honoru chcę być budnikiem na „głuchej przestrzeni”.

Dyrektor ustąpił.

- Ha, jeśli już tak koniecznie i to bezinteresownie, pilnuj pan sobie tej linii do czasu. A zatem - dodał z uśmiechem lekkiej ironii, uderzając go po ramieniu - mianuję pana od dzisiaj dróżnikiem na „głuchej przestrzeni”.

Wawera ze łzami w oczach uściśnął dłoń zwierzchnika i wyszedł z biura szczęśliwy jak nigdy.

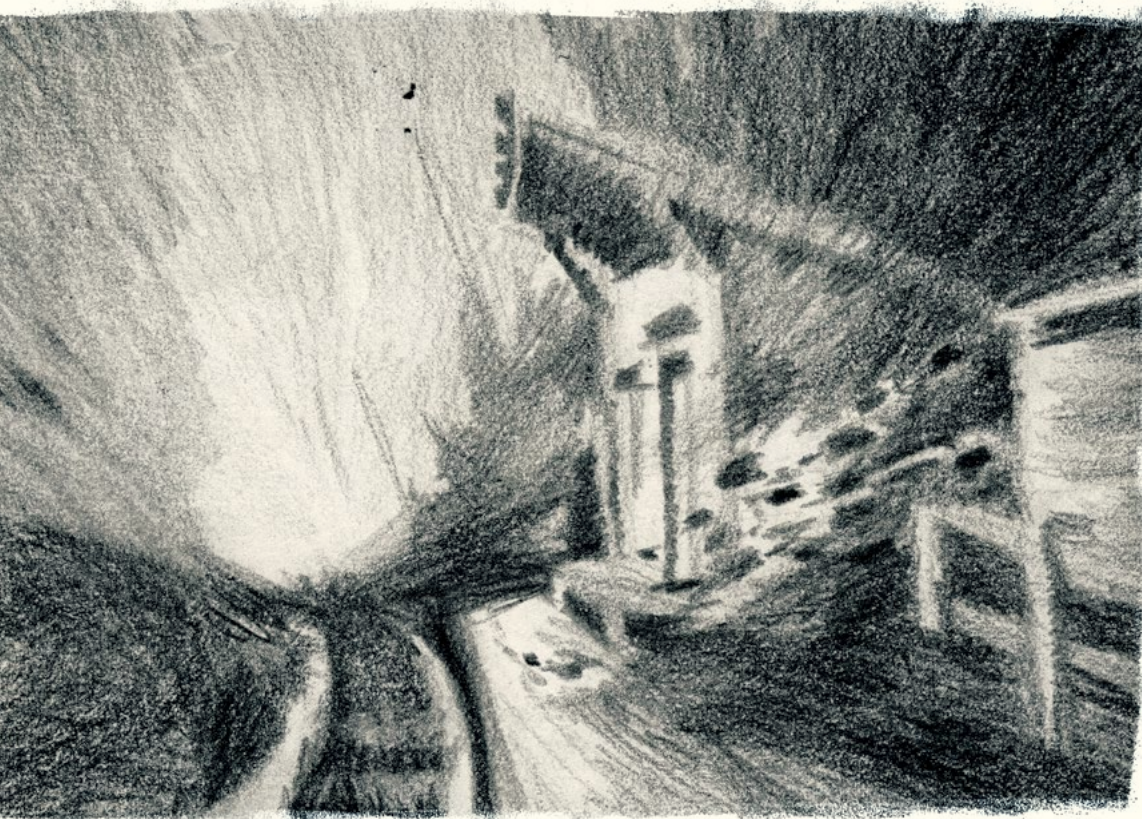
Nazajutrz objął „służbę”. Zabrał ze sobą z Orszawy parę gratów - mebelków, pościel, trochę książek i naczyń kuchennych - i spakowawszy to chude gospodarstwo na ręczny wózek, sprowadził się na nowe mieszkanie, którym miała być od-tąd budka byłego dróżnika wyłączonej z ruchu strefy. Był to budynek niewielki, nadniszczony już przez całoroczne zaniedbanie, lecz w dziwnie pięknym otoczeniu.

Wciśnięta we wnękę parowu, parę metrów nad poziomem toru, budka wyglądała z daleka pod swym daszkiem z czerwonego łupku jak zaczarowana chatka z bajki. Mały lasek jodłowy wyrosły półkolem na szczycie jaru ujmował ją w opiekuńcze

# I

ramiona i chronił od wichrów północy. W wybite okna zaglądały złote głowy słoneczników, przemycił się szerokolistny łopian – w rynnach powyginanych fantastycznie leżały się pisklęta jaskółek. Przed domem w ogródku zarosłym zielskiem na głucho oddawała się wiatrom na wolę samotna topola...

Wawera u wstępu objął miłosnym spojrzeniem nową sadybę i żwawo zabrał się do porządkowania i naprawek. A potrzebne już były bardzo, bo jego poprzednik opuścił posterunek jeszcze przed rokiem, po zamknięciu przestrzeni, i budka zdana na łaskę losu ucierpiała ogromnie od niepogody i ludzkiej chciwości. Lecz Wawera nie stracił ducha i piorunem rzucił się do roboty.



Powstawał wybite lub pokradzione szyby, załatał dziurę w dachu, naprawił wywalone z zawiasów drzwi. Po tych konieczniejszych reparacjach przysła kolej na dalsze: rekonstrukcję rozdrapanej prawie do cna podłogi i ustawienie brakujących przesł w ogrodzeniu. Zabrało mu to parę dni czasu, bo musiał wszystko robić sam, ale humoru nie tracił, lecz owszem, pogwizdywał wesoło przy pracy jak szczygieł. Gdzieś u schyłku tygodnia, gdy już robota była na ukończeniu, przypłatał się doń jakiś beznamiętny pies i zamieszkał pustą budę koło drewni za domem. Wawera chętnie przygarnął go do siebie, uważając zjawienie się zwierzęcia za dobrą wróżbę na przyszłość.

Pierwszą niedzielę na nowej placówce spędził Wawera na modlitwie i rozmyślaniach. Wyciągnąwszy się po południu na zboczu wąwozu opodal domu na trawie, wlepił oczy w majowy błękit nieba i zapadł w długą zadumę, z której obudziły go dopiero głosy dzwonów wieczornych płynące z Orszawy...

Nazajutrz od rana rozpoczął właściwą służbę od przeglądu powierzonej sobie przestrzeni.

Pętlica była dość długa, bo przeszło dwanaście kilometrów, i niemal od początku do końca szła głębokim, wąskim parowem, którego ściany tworzyły rozstęp szerokości podwójnej wstęgi torów. Budka dróżnika wznosiła się mniej więcej w połowie „głuchej przestrzeni”, w miejscu, gdzie łuk jej krzywizny wyginał się najsilniej ku północy.

Rewia zajęła Wawerze przeszło pięć godzin, bo prawa noga, będąca kikutem poniżej kolana, przeszkadzała mu znacznie w chodzeniu. W końcu jednak zbadał dokładnie linię w jedną i drugą stronę i zadowolony z rezultatu wrócił do budki na posiłek.

Ostatecznie przestrzeń nie przedstawiała się najgorzej. W jednym tylko miejscu brakowało kilku metrów szyny, lecz to można było jakoś nadsztukować.

- Nie święci garnki lepią - pomyślał, krając chleb i zapijając go jakąś imitacją barszczu. - Ludzie wstawiają sobie zęby, czemuż bym ja nie potrafił wstawić kilkumetrowego kawałka szyny?

I wstawił. Gdzieś pod nasypem kolejowym, pod jakimś kamiennym mostkiem wyszperał parę zardzewiałych już żelaznych sztab, oczyścił, przekuł w ogniu przy nitach, przystosował do reszty i załatał szczerbę w torze do niepoznaki. Równie gładko poszło z naprawą starej zwrotnicy z wybitym okiem i dwu latarni „stacyjnych” opodal budki. Wkrótce stawię dło funkcjonowało jak za dawnych, dobrych czasów, a w nocy, począwszy od godziny siódmej, rozbłyskiwały latarnie miłym, acz nikłym trochę światłem.

Wawera dumny był ze swego dzieła i rozmiłowanymi oczyma wodził po swojej „strażnicy”, po torze czyściutko utrzymanym i po lśniących relsach. Nie miał nic do zarzucenia swojej przestrzeni. Wszystko tu było jak i gdzie indziej, na czynnych liniach. Był bo i tor podwójny, i krótki tunel powyżej budki, a nawet blok, prawdziwy, w całym tego słowa znaczeniu blok, z dźwigniami do przerzutów. Istnienie tego budyneczku o parę metrów od sadyby dróżnika pasowało właściwie placówkę na „przystanek”. Jakoż była tu rzeczywiście przed laty mała stacyjka, przy której budnik spełniał równocześnie funkcje naczelnika. Podobno nawet jeszcze na rok przed wyłączeniem pętlicy zatrzymywały się tu czasem pociągi towarowe na małą chwilę.

Wiadomość ta podniosła ogromnie w oczach Wawery znaczenie jego posterunku i doniosłość związanych z nim zadań. Odtąd zaczął traktować swą budkę jako przystanek i postanowił uczynić wszystko, ażeby utrzymać go na wysokości przeznaczenia. Toteż otoczył jak najtroskliwszą opieką blok i zawarł w nim obiekty, których strzegł jak oka w głowie. Chcąc niejako umotywić wobec siebie i drugich istnienie tego budynku i przywrócić mu dawną rację bytu, powielił tor przed





blokiem o jedno odgałęzienie szyn, które niewątpliwie niegdyś musiało tu istnieć, lecz później jako zbędne zostało usunięte.

Ponieważ to ostatnie zadanie przechodziło już jego siły i zdolności techniczne, uciekł się do pomocy jednego z kolejowych kowali z ogrzewalni stacyjnej w Byliczu, niejakiego Luśni, i pozyskawszy go paczką przedniego tytoniu, namówił do przywrócenia jego „stacji” jej dawnego wyglądu. Kowal przeprowadził restytucję odgałęzienia wedle wskazówek dróżnika i odtąd został jego najserdeczniejszym przyjacielem.

W godzinach wieczornych, wolnych od pracy, przychodził Luśnia w odwiedziny do budnika i usiadłszy razem na belce pod blokiem lub na progu stacji, gawędzili pod nieszpór, ćmiąc fajki.

Wtedy to, wśród przyjacielskiej rozmowy, przy wtórze zasypiających koników polnych, rechocie bagiennych żab, przyszło do wzajemnych zwierzeń.

Powoli wyszło na jaw, że Szymon Wawera nie zawsze był w życiu „sam jako ten palec”, że miał niegdyś młodą i piękną żonę i parę dzieci o główkach jasnych jak len, jedwabistych. Hej, minęło szczęście, minęło niewrotne! Żonę uwiódł spanoszony bogacz, dzieci śmierć zabrała. Odtąd nikt go nie oczekiwał w pustym, zimnym domu, gdy powracał z tury... Potem przyszedł karambol pod Wolą. Stracił wtedy nogę i służbę; musiał pójść na pensję. A miał jeszcze ochotę do pracy, o, i jaką ochotę!... Lecz trudno - nie można było inaczej. To przekłete kalectwo!

A zawsze go coś ciągnęło do kolei. Nie mógł się z nią rozstać w żaden sposób. Przez parę lat po spensjonowaniu pracował jako posługacz przy magazynach na dworcu towarowym, staczając beczki i bale po pomostach, potem, gdy noga zaczęła odmawiać posłuszeństwa, zarabiał z dnia na dzień w ogrzewalni przy dworcu w Zbąszynie jako pomocnik ślusarski. A zawsze przy kolei, zawsze w pobliżu ukochanych wagonów, maszyn i przestrzeni. Dalekie to jeszcze od konduktorstwa,



dalekie jak niebo od ziemi, ale przecież – przynajmniej się człowiek ocierał o kolej.

**O, bo nie masz to jak konduktorska dola!  
Jedzie sobie człowiek tak w przestrzeń, jedzie  
hen, daleko przed siebie, milami jedzie, stajami...  
Świat mu się kręci, w dal ścieli, migają miasta  
w przelocie, mijają pola, gościńce... Konduktor  
tak jedzie, panowie, konduktor – człek tułacz  
wieczysty!...**

Tak mijały lata, płynął czas niepowrotną falą... Aż pół roku temu, zasłyszawszy przypadkiem w rozmowie coś o „głuchej przestrzeni” między Orszawą a Byliczem, porzucił ogrzewalnię i przeniósł się w te strony, by czuwać nad opuszczoną linią.

I oto teraz został budnikiem, co więcej, kierownikiem przystanku. Ludzie się podobno śmieją z niego, że to „głuchej” pilnuje przestrzeni i „przed wiatrem broni”. Niech się tam śmieją zdrowi. On swoje wie także. A rozdrapywać więcej toru nie pozwoli i porządek utrzyma. I oto znów służy kolei i wrócił do niej jak syn marnotrawny w dom rodzica po latach. Dach nad głową ma, stację i przestrzeń ma, dobra kolejowego dogląda – czegoż mu więcej potrzeba?...

Słuchał Luśnia tych zwierzeń z uśmiechem na ustach, od czasu do czasu przytakując głową. A gdy przyjaciół na chwilę zamilkł i wpatrzył się zamyślony gdzieś w perspektywę toru, wyciągnął lulkę z zębów i zapytał:

– To ty, Wawera, przystałeś tu na budnika tak niby tego, jak by to powiedzieć, niby z takiej tęskności wielkiej do kolei, he?

Wawera oderwał oczy od szyn.

– A niby tak, kochany kowalu, a niby tak.

– Ale bo widzisz, Szymek, właściwie tak Bogiem a prawdą – ty siebie samego tumanisz. Tyś tu właściwie niepotrzebny. Przecie to głucha przestrzeń i pociągi tędy od roku nie chodzą. Nie ma czego pilnować. Tego tam trochę żelaziwa w szynach? A co tam komu po tym? A zresztą choćby i ukradli? Nie taka znów wielka szkoda dla kolei. To tylko zabawka i tyle.

Wawerze jakby kto nóż utopił w serce. Spochmurniał, zaciął wargi i poderwał się z miejsca.

**– Kiedy tak, to idźże sobie precz stąd do licha! No, słyszałeś?! Won stąd, mówię, pókim dobry! Kiedyś taki mądry jak inni, to idź sobie pomiędzy nich i śmieję się ze mnie wraz z nimi. Ale dobrze mi tak, staremu durniowi! Po co było otwierać serce pierwszemu z brzegu? Oto masz i nagrodę. Napluło ci bydlę w twarz i splugawiło ci duszę. Won stąd, powiadam, bo mnie popamiętasz!**

Luśnia zmieszał się, poczerwieniał, stropił się ogromnie. Głosem urywanym, pełnym skruchy i żalu zaczął się usprawiedliwiać i przeproszać:

– No, no, stary, nie gniewaj się, nie sierz tak okrutnie. Ja, widzisz, chciałem co innego powiedzieć. Tylko nie wiedziałem jak. Zwyczajnie człek prosty jestem, kowal. Ty – co innego: konduktor; wieleś świata zwiedził, książki czytasz. Tylko, widzisz, nie mogłem sobie jakoś tego wykalkulować, po co ty właściwie zaszyłeś się tutaj na stare lata. Ale teraz to widzę, niby tak w sercu czuję dlaczego. Tyś inny człowiek jak inni.

Wawera spojrział nań z ukosa, trochę z niedowierzaniem, lecz znać już przejednany.

– No tak, to co innego. Jeśli sam przyznajesz, żeś głupi i nie rozumiesz, to ci ten raz jeszcze mogę wybaczyć. Bo posłuchaj,

Luśnia – dodał, zniżając tajemniczo głos – jest ci tu i inna przyczyna, co mnie tu więzi i trzyma. A że jest – ja to czuję najlepiej tu, głęboko w piersi – tylko jej nazwać jeszcze nie umiem po imieniu, tylko uchwycić jej jeszcze nie potrafię w cęgi słów. Ale ona jest, owa dziwna przyczyna – jest, jest na pewno.

Luśnia patrzył na przyjaciela rozszerzonymi od ciekawości oczyma.

– Masz teraz na myśli nie jeno ową tęskność do kolei?

– Nie, nie. To jest coś innego. Coś, co u mnie z ową tęsknotą się łączy, ale też istnieje i bez mnie, samo dla siebie.

– Co to takiego, Wawera?

– Sza! To tajemnica! Tajemnica „głuchej przestrzeni”.

Zamilkli obaj, zdjęci nagle nieokreślonym lękiem, zatapiając spojrzenia w mroczniejącą już szyję parowu. Wśród bezdennej ciszy sierpniowego wieczora nadpłynęły nagle od toru ciche, choć wyraźne szmery i szelesty. Jakieś seplenienia stłumione, jakieś poszepty lękliwe, poszczęki...

– Słyszysz, Luśnia? – przerwał milczenie budnik. – Szyny gwarzą...

– Zwyczajnie latem pod wieczór kurczą się od chłodu i przeto szcękają.

– Szyny gwarzą – powtórzył Wawera, puszczając mimo uszu objaśnienie kowala. – Gawędzą sobie wieczorem po znojach dnia.

– Szyny gadają – powtórzył jak echo Luśnia.

– Tak, tak – mówił dróżnik dziwnie rozmarzony. – Czy myślisz, że one nie żyją jak my, ludzie, zwierzęta lub drzewa?

Kowal spojrział, zaskoczony pytaniem.

– Żyją, Luśnia, żyją, jeno swoim własnym, odmiennym od innych stworzeń życiem.

To stanowczo już przekraczało zakres pojęć kowala. Popatrzył pocziwiec na towarzysza jak na wariata, pokręcił głową i splunąwszy od niechcenia w bok, odsunął się trochę na prawo.

– A tor, myślisz, nie żyje, co? – następował nań rozgrzany biernym oporem Wawera. – A ten parów, ta stacja z blokiem, a ta cała przestrzeń, hę?

– Głucha przestrzeń – wtrącił półgłosem Luśnia.

## **– Głucha, powiadasz? Głucha i ciągle głucha! To wy jesteście głusi, wy głupi, tępi ludzie, którzy słyszeć nie chcecie głosu Boga!**

Kowal struchlał.

– Nic już nie wiem – bełkotał, patrząc półprzytomny na towarzysza. – Nic nie rozumiem. Ale w Boga – to wierzę.

Dróżnik ze wzrokiem natchnionym, uśmiechnięty, promienny wskazał ręką przestrzeń nurzającą się już w mrokach wieczornych.

– Wszystko to żyje i wspomina.

– Wspomina? – zagadnął żywo Luśnia. – A co wspomina?

– To, co minęło. To, co tu było przed laty. Tak jak my, ludzie, wspominamy przeszłość – dodał po chwili z głębokim smutkiem w głosie.

– To niby ta twoja przestrzeń wspomina swoją dawność?

– Tak, Luśnia, tak – nareszcie mnie zrozumiałeś. Wspomina swoją dawność.

– Niby owe stare, dobre czasy...

– Tak, tak – gdy tu jeszcze panował ruch, gdy pociągi przeływały jak błyskawice, dudniły głucho koła wozów, przepływały przestrzeń gwizdy lokomotyw.

– To wspomina twoja przestrzeń.

– O tym śni ta moja przestrzeń, śni bez przerwy za dnia w słońcu i w długie, czarne, ślepe noce...

– A ty, Wawera, a ty?

– A ja wraz z nią niby ta bratnia dusza.

*Największą sensację wywoływał szkic do obrazu nazwanego „Pociąg śmierci”. Ogromna lokomotywa o krwawych ślepiach-laterniach gnała prosto w przepaść. Na kotle, tuż za kominem, siedziała śmierć ubrana w góralskie cyfrowane portki.*

Wanda Gentil-Tippenhauer, Stanisław Zieliński,  
W stronę Pysznej

W przypowieści Franza Kafki *Jama* (w innych przekładach *Schron; Der Bau*, 1924) zwierz bez nazwy spędza całe życie na udoskonalaniu swojego podziemnego pałacu. Pałacu-labiryntu korytarzy, sal, zaułków, zapadni i tajnych przekopów, dzięki którym mógłby zejść od tyłu i unicestwić intruza. Im szerzej jednak kopie, im dłużej nad tym myśli, tym bardziej jest ze swojego schronu niezadowolony. W końcu istotnie coś zaczyna go niepokoić: jak mu się zdaje, skądś, nie wiedzieć skąd, zaczyna dobiegać osobliwy, nieprzyjemny syk. Lokator schronu z wolna uprzytamnia sobie, że mógłby to być odgłos – dajmy na to – nieznanego potwora, ryjącego ku niemu tunel. Im bardziej popada w panikę, tym wyraźniej słyszy upiorny dźwięk. I odwrotnie: nasilanie się syku potęguje strach. Niepokój, można się domyślić, już go nie opuści. W końcu w rzeczywistość dźwięku nie może już wątpić: „Wprawdzie obecnie wydaje mi się, że zwierzę jest bardzo daleko, gdyby się cofnęło jeszcze tylko odrobinę, znikłoby zapewne także odgłos, może wówczas

wszystko mogłoby się jeszcze dobrze skończyć, jak za dawnych czasów”<sup>1</sup>. Psychoza zyskała ciało. Tak oto myśl samodzielnie, bez asysty ponoć koniecznych danych zmysłowych, tworzy rzeczywistość. Kafka, jak to on, nie kończy tej anegdoty.

W opowieści Stefana Grabińskiego *Głucha przestrzeń* z tomu *Demon ruchu* (dodanej w drugim wydaniu, 1922) emeryt kolejowy Wawera obejmuje na własną prośbę nadzór nad wyłączonym z użytkowania odcinkiem torów. Z wolna doprowadza tam wszystko do porządku – brak tylko, rzecz jasna, pociągów, by jego marzenie mogło się spełnić. Jednakże od czasu do czasu, pod wieczór, zdaje mu się, że słyszy z głębi pustej kolejowej przestrzeni lekki pobrzęk. Naprzód daremnie, a potem z rosnącą nadzieją samozwańczy zawiadowca stacyjki przykłada ucho do szyn – i rzeczywiście: coś jakby dudni w oddali. O zmierzchu dobiega go czasem odległe echo łoskotu. Trzeba więc czekać i wierzyć. I odtąd „z dniem każdym słyszał coraz wyraźniej, coraz bliżej, coraz dobitniej. Po chwili mil- kło wprawdzie, głuchło gdzieś, rozwiewało się, lecz nazajutrz, o zmroku, w tę dziwną godzinę przesiłtu dnia z nocą znów powracało, mocniej już, głośniejsze, prawie namacalnie... Aż przyszła godzina ziszczenia”. Tak, wreszcie po raz pierwszy dźwięczy sygnalizator i z gardzieli tunelu wyzieraają żółte ślepie parowozu. „Ta, ta, ta!... Ta, ta, ta!...” – taki to hipnotyczny stukot zniewolił Wawerę. Ma się rozumieć, wszystko źle się skończy.

Nikt bodaj nie zestawiał Grabińskiego z Kafką, lecz pokrewieństwo konceptu jest uderzające. W jednym przypadku lęk, w drugim tęsknota powołują do życia halucynacje. Halucynacje, dodajmy, podobnej natury: dźwiękowej. One to właśnie zdają się przedzierzgać w rzeczywistość, która tym samym nabiera cech rzeczywistości psychicznej. Proces ten daje się

<sup>1</sup> F. Kafka, *Jama*, przeł. J. Ziółkowski, [w:] tegoż, *Opowieści i przypowieści*, przeł. L. Czyżewski i inni, Warszawa 2016, s. 618.

---

zauważyć w większości opowiadań z *Demona ruchu*. Nie o kolei one mówią, bądź nie tylko o niej, lecz o zjawisku autosugestii. Konduktor Błażek Boroń z opowieści *Smoluch* tak bardzo wierzy w fatalną moc złowieszczego Smolucha, że aby ją zbić, sam prokuruje katastrofę: („Karambol! – szeptały zbierały wargi. – Karambol!”). Co zresztą symptomatyczne, pierwszemu objawieniu się Smolucha Boroniowi towarzyszą wrażenia zmysłowe świadczące, że „olbrzym” jest w gruncie rzeczy synestezyjnym frankensteinem: „Ciało jego, zasmolone sadzą, złane brudnym od węgla potem, wydzielało duszny odór: był w nim zapach włoskiego kopru, swąd dymu i woń mazi. Boroń rzucił się za nim i chciał przychwycić, lecz zjawisko rozplynęło się w oczach. Słyszał tylko czas jakiś tupot bosych nóg na podłodze – duh, duh, duh – duh, duh, duh...”. Bytomski, naczelnik stacji Trenczyn (z opowieści *Fałszywy alarm*) na tyle ufa rzekomej logice przypadku, iż makabryczne – w skutkach – potwierdzenie swych wyliczeń przyjmuje z samobójczą satysfakcją („Uśmiechnął się, wydobył coś z kieszeni płaszcza i przyłożył do skroni!... Huk strzału złał się z piekielnym łomotem miażdżących się w tej chwili pociągów...”). Nienasycony pożeracz przestrzeni, maszynista Grot (z opowieści pod takimże tytułem), kompensuje sobie niespełnione marzenia o lataniu uprawianym na lokomotywie fantazjowaniem. I w rzeczy samej, ostatecznie wyleci w powietrze, a „purpurowy finał Grota” poprzedzą mniej spektakularne dla postronnych, ale bodaj nie dla samego maszynisty wyładowania w jego głowie. Tajemniczy, a i złowrogi podróżny Tadeusz Szygoń z tytułowej opowieści zbioru, opętany potrzebą jazdy bez końca, wyznaje kult kolejowego demona ruchu, któremu składa ofiary z niedowiarków. Odludek budnik Jaźwa z opowieści *Sygnaly* jeszcze długo po własnym zgonie śle do kolegów „ostrzeżenia” z tamtego świata: „Naczelnik Dąbrowy miał tej nocy i następnych sen spokojny i nie zmacony sygnałami. Lecz w tydzień potem

---

zaszła na linii Dąbrowa – Głazów straszliwa katastrofa. Odrwane nieszczęśliwym trafem wagony wpadły na pociąg pospieszny dążący z przeciwnej strony i zdruzgotały go doszczętnie”. Pewien dróżnik ze ślepego plantu, garbaty Wiór, umie, jak twierdzi, siłą umysłu wywołać z niebytu ów (tytułowy) ślepy tor, by zbaczały tam z głównej linii, ku swej zgubie, pociągi. Kolejowy pustelnik, naczelnik Kazimierz Joszt ze Szczytnisk, zwanych Ultima Thule, zdolny jest wychwycić z ponurej scenerii stacji emanacje zwiastujące śmierć – w tym i własną. Taki oto list kończy opowiadanie *Ultima Thule*: „Drogi Romku! Mam zginąć wkrótce, nagle. Człowiekiem, którego dziś we śnie widziałem w jednym z okien rudery, byłem ja sam. Może niebawem spełnię swą misję, a ciebie wybiorę na pośrednika. Opowiedz ludziom, dasz świadectwo prawdzie. Może uwierzą, że jest świat inny... Jeśli zdołam. – Żegnaj! Nie! Do widzenia – kiedyś po tamtej stronie...”.

Zwraca uwagę, że – podobnie jak stwór Kafki i strażnik głuchej przestrzeni Wawera – są to wszystko samotnicy, prześladowani przez natrętne myśli, wciąż obracający je w głowach, rozpamiętujący bez końca i podsycający obsesje aż po finałny paroksyzm. Cały, skądinąd efektowny, spirytualistyczny sztafaż, dzięki któremu kolej żelazna przecina kulisy zaświatów, a także przyrodzona (i bardzo niegdyś wyrazista, a dziś wzgardzona) niesamowitość tego wynalazku – stanowią dekorację zbłąkania. W gruncie rzeczy śledzimy bowiem scenerię psychiczną procesu narastania paranoi, biorącej we władanie zagłębione w sobie, samotnicze umysły.

Grabiński jest tu jednym z pionierów<sup>1</sup>. Wielka kariera paranoi w kulturze miała przed sobą przyszłość, lecz wcale odległą.

---

<sup>1</sup> Rzecz jasna, Grabiński jako czytelnik (oraz interpretator, co poświadcza jego esej *Książę fantastów*) Edgara Allana Poeego pozostaje jego dłużnikiem także w przedstawianiu zapętleń czy aberracji psychicznych. Nie on jeden.

---

Dopiero po upływie pół wieku uwagę powszechną skupić miały takie dzieła, jak *Aksolotl* (1956) Julia Cortàzara, *Psychoza* (1960) Alfreda Hitchcocka, *Matka Joanna od Aniołów* (1961) Jerzego Kawalerowicza, *Chimeryczny lokator* (1964) Rolanda Topora, *Wstręt* (1965) Romana Polańskiego, *Piętaszek, czyli Otchłanie Pacyfiku* (1967) Michela Tourniera, *Aguirre, gniew boży* (1972) Wenera Herzoga czy *Pachnidło* (1985) Patricka Süskinda. Mania prześladowcza, rozdwojenie jaźni, sadyzm, przymus anankastyczny, urojenia wielkościowe, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, ukazane „od środka”, z kliniczną ścisłością, jako namacalna i jedyna realność działających postaci, uwodziły w drugiej połowie ubiegłego wieku twórców i publiczność. Słowem, spełniała się niejako pochodząca z lat trzydziestych wróżba Joségo Ortegi y Gasset, że po wyschnięciu innych źródeł egzotyizmu, sensacji i wzorców realistycznych ostatnią redutą kreacji nieodparty fabuł literackich (czy filmowych) mogą być tylko przygody psychiczne – skryta dziwność i nieprzewidywalność dusz ludzkich. Grabiński odkrywał to dla siebie na raty – i nic dziwnego, że znalazł sojusznika i promotora w innym badaczu psychicznych zapętleń – wielkim krytyku Karolu Irzykowskim. Złączyło ich nie tylko rozpoznanie w ruchu samym zagadnienia przekraczającego ramy empiryczne, a zarazem fascynacyjne („w *Demonie ruchu* sam ruch, sprawa tak codzienna, odzyskuje swoją godność kosmiczną, a przy tym pozostaje potęgą nowoczesną”<sup>1</sup>). Skądinąd w dedykowanym – zupełnie nieprzypadkowo – autorowi *Pałuby* opowiadaniu *Spojrzenie* (z tomu *Niesamowita opowieść*) główny bohater, cierpiący na halucynacje Tomasz Odonicz, dywaguje: „Czy świat otaczający mnie w ogóle istnieje? A jeśli rzeczywiście istnieje, czy nie jest wytworem kształtującej go

---

1 K. Irzykowski, *Żeglarz po morzu ciemności (Wspomnienia o Stefanie Grabińskim)*, „Prosto z Mostu” 1937, nr 4, s. 2.

---

myśli? A może wszystko jest tylko fikcją jakiejś głęboko zamysłonej jaźni?”<sup>1</sup>. Stanisław Lem, autor posłowa do wyboru *Niesamowite opowieści*, w którym znalazł się m.in. cytowany tekst, także powinien entuzjasmować się takimi oto wywodami, skoro sam prowadził w prozie (i nie tylko) dyskusje analogiczne. Posłowie nie zdaje, co prawda, sprawy z fascynacji Grabińskim, zwłaszcza tym od kolei, lecz przy okazji referowania *Kochanki Szamoty* wchodzi Lem na teren, który i tutaj sprawdza my: „Odrzucając zarówno mediumistyczną, jak »pozagrobową« paradygmatykę, nie stajemy wobec utworu, zapadającego się bezsilnie w nicość [...]. Postuluję [...] przemieszczenie wszystkich zajęć w obręb psychiki bohatera, którego opętanie erotyczne przekroczyło granice umysłowej normy albo [...] którego fiksacja seksualna stała się treściowym źródłem omamów. Gdy przyjmujemy taką wersję, wyjawia się, że on to sam sobie wszystko wyroił, sam się otoczył fantazmatami, którym nic obiektywnie nie odpowiadało”<sup>2</sup>. Słowem, autor *Wysokiego Zamku* zobaczył w Szamocie kogoś na kształt bohatera Kafkowskiej *Jamy* (jeśliby powstały na gruncie halucynacji słuchowych lęk przed osaczeniem potraktować jak odpowiednik zamknięcia w ciałniejącym kręgu omamów i obsesji).

W tym miejscu nie może się obyć bez odkrywcy wątku – Charlesa Dickensa. Jego *Dróżnik* (*The Signal-Man*, 1866) dokonuje przemiany scenerii gotyckiej w technologiczną. Czytelnicy wcześniejsi nawykli do zamczysk na odludziu spod pióra chociażby Ann Radcliffe (*Tajemnice zamku Udolpho*), do prastarych murów, lochów i błędzących wśród nich mar; usilnie realistyczny Dickens zastąpił je w swej opowieści obudowanym

---

1 S. Grabiński, *Niesamowite opowieści*, posłowiem opatrzył S. Lem, Kraków 1975, s. 332. Treść przytoczonej dywagacji rymuje się z centralną problematyką ontologiczno-poznawczą pism Irzykowskiego.

2 S. Lem, *Posłowie*, w: *Niesamowite opowieści*, dz. cyt., s. 347.

---

ciosowym kamieniem wąwozem wykopu, mrocznym wyłotem tunelu i purpurowym światłem, sygnalizującym obecność pociągu przemierzającego mroczną czeluść. Linia jest, ma się rozumieć, jednotorowa, i najmniejsza pomyłka telegrafistów z każdej ze stron grozi potworną katastrofą. W tych to okolicznościach tytułowemu dróżnikowi jawi się u wylotu tunelu widmo zwiastujące nieszczęście. Rzecz jasna, jest to halucynacja wprost ze „średniowiecznych” zamczysk, nieodłączna od wilgoci posępnych lochów, mrocznych paszcz nawiedzanych przez widma i grobowego powiewu anonsującego obecność doczesnych szczątków potępieńców. Cała ta scenografia, nadzwyczaj na pozór trzeźwa i „technologiczna” – mało tego: prowincjonalna i właściwie przypadkowa – zdumiewająco emanuje zgrozą, która nic a nic się nie starzeje. Ekscentryczny dróżnik, medium niezdarzonych jeszcze katastrof, grobowa aura sztucznego wąwozu, osamotnienie szeregowego pracownika linii kolejowej obdarzonego niechcianym darem „widzenia” – wszystko to uzupełnia nowoczesność substratem metafizycznym, jakiego z definicji zdaje się pozbawiona. Może właśnie to „pozbawienie” – neutralność, niewinność technologii – stanowi właściwy temat opowieści Dickensa, a zarazem jej zaprzeczenie. Dzięki mowie mitologicznej oswajanie ustanawia paradoksalną humanizację szokującego wynalazku.

Oczywiście, nie przypominałabym sobie o *Dróżniku*, gdyby nie obecny w tym tekście wątek omamów o podłożu przede wszystkim słuchowym. Od tego zaczyna się opowiadanie: od niewinnego z pozoru wołania „Hej! Tam w dole!”<sup>1</sup>. Woła tak nieświadomy asocjacyjnej grozy tych słów narrator opowiadania, wciągając się tym samym w historię dróżnika – jak się

---

1 Ch. Dickens, *Dróżnik*, przeł. M. Traczewska, w: *Opowieści niesamowite (4) z języka angielskiego*, wybór, wstęp i noty o autorach M. Płaza, przeł. V. Dobosz i inni, Warszawa 2020, s. 125.

---

rychło ma okazać, krótką już i pozostawiającą jego rozmówcę z niepokojem nie do przepracowania. Bo kto tu jest wariatem, kto tu słyszy i widzi naprawdę? I co miałyby to oznaczać w tej klaustrofobicznej na poły, samotniczej przestrzeni, w której czuwa dróżnik? „Jeśli chodzi o rzekome wołanie – powiedziałem – niech pan tylko przez chwilę wsłucha się w szum wiatru w tej niesamowitej kotlinie, kiedy tak rozmawiamy cichym szeptem, i w rozszalałe dźwięki harfy, w jaką wichura zmienia druty telegraficzne”<sup>1</sup> – naprowadza narrator, próbując wytrącić swojego rozmówcę z przymusu sprawdzania, czy aby nie wróciło nawiedzające go widmo. I nie wiemy, pytamy: czy nasz stróż jest medium wsobnego obłądu, czy wręcz przeciwnie: zachorował od przeczuć, które kogoś mogły lub musiały skolonizować. Okazał się, widać, podatny. I udzielił mu się – w innym sensie, niż entuzjastom dzikiego pędu – „obłąd ruchu”<sup>2</sup>.

Czytelnikom kolejowych opowieści grozy pozostawić trzeba rozstrzygnięcie, co – podświadomie – bardziej niepokoi: przywodzące na myśl wielkiego zwierza sapanie parowozów czy też fakt, że te maszyny z reguły są (złowieszczą dla podejrzliwego umysłu) czarne? A może chwile, gdy wyłaniają się z wąskich, ciemnych nor? Lub to, że trwożą noc cyklopiem, niemrugającym ślepiem? (Wprowadzenie, już w XX wieku, dwu świateł czołowych sprawiło, iż przygasła demoniczność zbliżających się nocą lokomotyw). Jednym słowem, między pracą symboliczną kolei parowej, rozpatrywaną tak, jak naucza Gaston Bachelard, a pracą co pierwotniejszych zakamarków ludzkiego umysłu rysuje się godna uwagi konwergencja.

Na prawach antycypacji *Demon ruchu* wpisuje się w wielką batalię, jaka rozegrać się miała dużo później. Wiek XIX skupiał się bowiem niemal bez reszty na szaleństwach ideologicznych.

---

1 Tamże, s. 134.

2 J. Lorentowicz, *Galeria osobliwości*, „Express Poranny” 1924, nr 228, s. 2.

---

Takimi są obłęd Balzakowskiego Vautrina i zaćmienie umysłowe Raskolnikowa w powieści Fiodora Dostojewskiego (by nie wspomnieć o innych jego „opętańcach”: Piotrze Wierchowieńskim i Aleksieju Kiryłowie z *Biesów* czy Iwanie Karamazowie). Należą do tego grona także bohater Haskali – tytułowy bohater powieści Elizy Orzeszkowej Meir Ezofowicz i wynalazca Geist z *Lalki* Bolesława Prusa (nie ze względu na wariacstwo, lecz zaangażowanie w ideę). Nic im się nie „wydaje” – jak ekscentrycznie by się nie zachowywali. Walczą o swoje prawdy, aczkolwiek szalone, hrabia Monte Christo, kapitan Nemo, anarchista Wilhelm Froment z *Paryża* Emila Zoli czy anarchista Profesor z *Tajnego agenta* Josepha Conrada. Wyjątki, w rodzaju *Bartleby’ego* Hermana Melville’a, gdzie bunt nosi wyraźne piętno psychiatryczne, da się policzyć na palcach. W sumie rzecz by można, iż wymienieni już wcześniej rewelatorzy przestrzeni wewnętrznych z drugiej połowy XX wieku toczyli bój z literackimi ideologami w stylu Dostojewskiego i z jego wizją wynaturzeń i zboczeń racjonalizmu. I w tę batalię – której nie dożył – Grabiński akuratnie by się wpisywał: ze swoją wizją obłędu, daleką od walk ideowych, bojów o sprawę, szaleństwa prawdy.

Wróćmy jednak do kolei. Z niezwykłą intuicją pisarską autor *Demona ruchu* korzystał z jej cech uderzających, prekursorских i działających na wyobraźnię: z jednej strony potęgi rozpętanych sił, ledwo – zda się – trzymany na wodzy, wielkich mas stali, ujarzmionego ognia, zawrotnego pędu; z drugiej – wytężonej uwagi, niezmiernej staranności, regularności i rytmu. Niełatwo już dziś usłyszeć hipnotyczny, podwójny stuk wózków wagonów na niespawanych szynach, ujrzeć stroboskopowy migot korbowodów, trudno wywołać z pamięci zwierzęce sapanie cylindrów i niemal ludzkie wydechy pary. Autor *Demona ruchu* pisał jednak w szczęśliwszych czasach, gdy lokomotywa, jak utrzymuje w genialnej *Bestii ludzkiej* Zola,

---

była niemal istotą, a współdziałanie jej mechanizmów nie tyle imitacją, ile alternatywną formą życia. Słowem, kolej parowa, a także jej słudzy wcielają bez reszty wizję ducha w materii. Dość teraz połączyć jedno z drugim – upajający ruch z pedanterią rozkładów, dynamikę jazdy ze statycznością dworców, pewność z czającym się zawsze z tyłu głowy lękiem – aby zwarcie tych antynomii wyzwoliło godną literatury niesamowitość. Im bardziej ujęta w karby zdawała się kolejowa rzeczywistość, tym lepsze stanowić mogła tło dla aberracji poddanych jej umysłów. Tak rodzą się opowieści.

W roku 1923 znakomity kompozytor szwajcarski, awangardzista Arthur Honegger, świeżo skończywszy podróż w poprzek Ameryki, pisał:

„Czułem zawsze namiętną miłość do lokomotyw. To dla mnie istoty żywe, kocham je... To, co starałem się przedstawić w *Pacific 231*, nie stanowi naśladownictwa odgłosów lokomotywy, lecz przekład na muzykę czerpanych z niej wrażeń wzrokowych i fizycznych sensacji... Punkt wyjścia to obiektywna kontemplacja: cichy oddech maszyny w spoczynku; dalej trud ruszania; stopniowe przyspieszanie, przejście od statyki ku dynamice trzystutonowej maszyny gnającej przez noc w tempie stu dwudziestu mil na godzinę. Za wzór wziąłem lokomotywę typu Pacific znaną jako 2-3-1, parowóz ciężkich pociągów kurieskich...”. Jego utwór, właśnie *Pacific 231*, ma podtytuł *Movement symphonique*. Ów *Ruch symfoniczny* (posłuchajcie koniecznie!) uznać można za orkiestralny przekład *Demona ruchu*. Metafizyki rozpętanego żelastwa, w które inkorporuje niedościgniona Energia.

Eliza Kącka

---

## Nota edytorska

Niniejszą edycję oparto na tekście drugiego, zmienionego i powiększonego wydania *Demona ruchu*, opublikowanego w 1922 roku nakładem Instytutu Literackiego „Lektor” sp. z o.o. we Lwowie. Dołączono do niego dwa dodatkowe opowiadania, które miały się znaleźć w nigdy nieopublikowanym wydaniu trzecim, a za życia autora ukazały się jedynie w prasie: *Engramy Szatery*<sup>1</sup> oraz drukowaną w odcinkach *Przypowieść o krecie tunelowym*<sup>2</sup>.

W tekście wprowadzono zmiany edytorskie w zakresie fleksji, ortografii i interpunkcji. Były to modyfikacje wynikające przede wszystkim z dostosowania tekstu do aktualnych norm. Z tego względu uwspółcześniono formy typu „podłużnem”, „tem”. Ortografię uwspółcześniono w zakresie pisowni i/j (np. „linja”, „funkcjonarjusz”, „Medjolan”), i/j/y (np. „zahypnotyzowani”, „yogin”), u/ó/o (np. „stróżka”, „drożnik”), zapisu przyimków, wyrażeń przyimkowych oraz pisowni łącznej i rozdzielnej (np. „zpoza”, „zponad”, „napróžno”, „naprzykład”, „gdzieindziej”, „niema”). Pozostawiono natomiast bez zmian historyczne lub oryginalne zapisy nazw geograficznych (np. „Bałkan”, „Nizza”, „Toulon”), ale uwspółcześniono ich pisownię (np. „Kanał Suezki”) i poprawiono ewidentne błędy

---

1 Pierwodruk: Stefan Grabiński, *Engramy Szatery*, „Naokoło Świata” 1926, nr 28.

2 Pierwodruk: Tenże, *Przypowieść o krecie tunelowym*, „Polonia” 1926, nr 141, 147, 154, 161.

---

(np. pominięte znaki diakrytyczne). Ponadto uporządkowano interpunkcję, usunięto cudzysłowy w przypadku wyrazów i wyrażeń potocznych (np. „dawać »łapówkę«”) lub użytych w znaczeniu przenośnym (np. „pisać »maczkciem«”). Konsekwentnie rozwijano skróty („i t.d.”, „t.j.”, „t.zw.”), a liczebniki zapisano w większości słownie. Niezleksykalizowane wtręty obcojęzyczne wyróżniono kursywą, a autorskie wyróżnienia znaczące – drukiem rozstrzelonym. Poprawiono oczywiste omyłki druku. Jeśli z dużym prawdopodobieństwem w tekście źródłowym niecelowo pominięto wyraz, dodano go w nawiasie kwadratowym.

Osobną kwestią jest układ tekstu. Autor niekiedy dzielił na akapity dłuższe partie dialogowe wypowiediane przez tę samą osobę. W niniejszym wydaniu przyjęto, zgodnie ze współczesnym standardem edytorskim, że kwestie takie nie będą rozdzielane. Wpływa to bowiem na zrozumiałość tekstu – rozdzielenie partii dialogowej wskazuje, że kolejną jej część wypowiada już inny bohater.

Ze względu na charakter wydania przypisy ograniczone zostały do niezbędnego minimum – zawierają głównie objaśnienia użytych w tekście wyrażeń obcojęzycznych.

W projekcie graficznym Jacka Ambrożewskiego istotną rolę odgrywa zainspirowany liternictwem oznaczeń kolejowych krój pisma Tor Grotesk autorstwa Mariana Misiaka. Złożone nim wyróżnienia w tekście opowiadań pochodzą od redakcji.

Ilustracje Rity Kaczmarskiej zostały wykonane techniką mieszaną przy użyciu kredek, pasteli, węgla i techniki prószczenia z wykorzystaniem farb w spreju i ręcznie wycinanych szablonów.



---

## Stefan Grabiński (1887–1936)

Klasyk noweli fantastycznej okresu międzywojennego, porównywany do Edgara Allana Poe i H. P. Lovecrafta, autor powieści, opowiadań i dramatów, z zawodu nauczyciel polonista. Najbardziej znany dzięki rozgrywającym się w scenerii kolejowej opowiadaniom grozy ze zbioru *Demon ruchu*, odzwierciedlającym jego zainteresowanie technologią i nowoczesnością, a zarazem fascynację filozofią, psychologią, ezoteryką i wschodnim mistycyzmem. Jego twórczość była tłumaczona na angielski i niemiecki, zainspirowała też adaptacje filmowe i telewizyjne, m.in. *Kochanka Szamoty* (1927), *Ślepy tor* (1967), *Dom Sary* (1985).

---

## Rita Kaczmarska (ur. 1991)

Absolwentka Wydziału Grafiki ASP w Warszawie (2016) oraz MEAE Game Art na Uniwersytecie w Utah. Jest ilustratorką i projektantką gier wideo. Ilustrowała między innymi *Bajki robotów* Stanisława Lema, *Awarię elekrowni* Tiny Oziewicz, wydała również autorską *Czarną książkę* oraz złożoną z ilustrowanych kart grę *Tajemnicze miasto*, za którą otrzymała I nagrodę w konkursie Illustration Startup (2014). Jej prace były prezentowane na wystawach w Polsce i za granicą.

© Copyright for the illustrations by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2024

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2024

ISBN 978-83-8150-309-9

wydanie I w tej edycji

wydawnictwodwiesiostry.pl

ilustracje Rita Kaczmarska

projekt graficzny Jacek Ambrożewski

postowie Eliza Kačka

redaktor prowadzący Maciej Byliniak

redakcja i korekta Maciej Byliniak, Anna Mirkowska, Dominika Cieśla-Szymańska

skład i przygotowanie do druku Piotr Bałduga, Jacek Ambrożewski

druk Białostockie Zakłady Graficzne S.A.

Złożono krojami pisma Tor Grotesk oraz BC Figural.

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

al. 3 Maja 2 m. 183

00-391 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).

Wydrukowano na papierze Munken Premium Cream 13 100 g/m<sup>2</sup> z papierni Arctic Paper Munkedals.

Najsztywniejsza książka polskiego

klasyka literatury grozy porównywanego

z Edgarem Allanem Poe i H.P. Lovecraftem.

Zbiór opowieści niesamowitych, w których

z pozoru racjonalny świat okazuje się

kosmosem pełnym mrocznych tajemnic,

a pociągi, napędzane tyleż mechaniką, co

metafizyką, pędzą wprost w ciemny tunel obsesji

i urojeń, szaleństwa i zguby. Sugestywne ilustracje

Rity Kaczmarskiej czynią tę podróż intensywniejszą

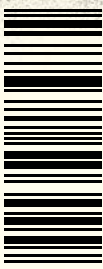
niz kiedykolwiek: dzięki nim jeszcze głębiej zanurzamy się

w uniwersum Grabińskiego, w którym prędkość działa

na umyśle jak potężny narkotyk, a rzeczywistość wibruje

od przeczuć i zwiastunów zbliżającej się katastrofy.

ISBN 978-83-8150-309-9



9 788381 503099 >

wydawnictwodwiesiostry.pl

DEMILOGUM